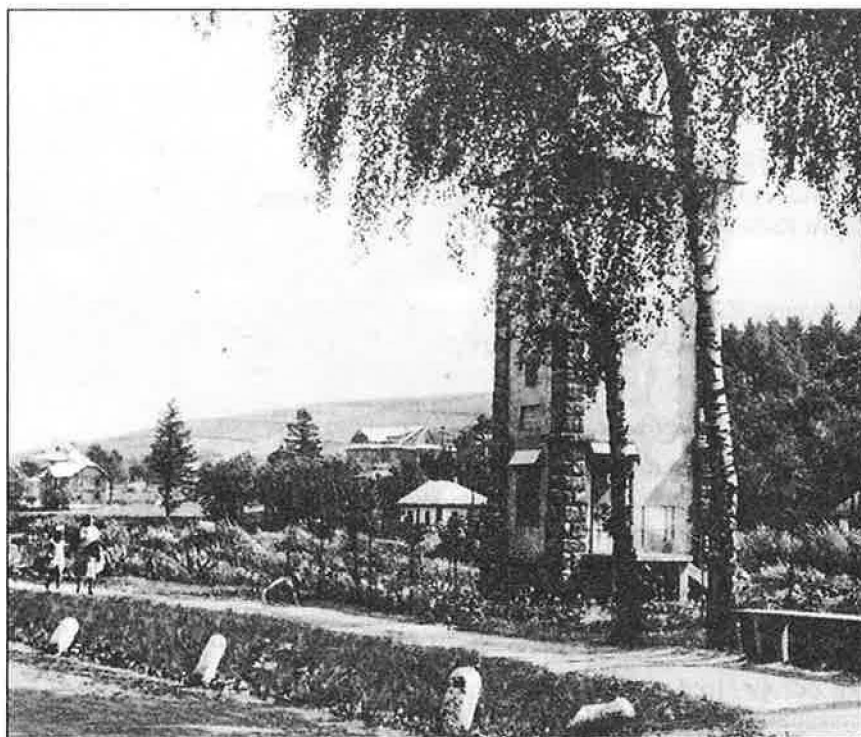


ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1998
TOM III

FOT-ART'94

*Eugenia Kitlińska***MOJE WSPOMNIENIA Z POBYTÓW W RYMANOWIE**

Urodziłam się i całe życie spędziłam na Podbeskidziu i z tym regionem, co zrozumiałe związałam moje serdeczne uczucia. Jest jednak jeszcze „jedno miejsce na ziemi“, na wspomnienie którego ogarnia mnie ciepła fala serdeczności – no prawie miłości – a jest to Rymanów w Beskidzie Niskim.

Z uwagi na moje powiązania rodzinne, powiedziałabym nawet korzenie tkwiące w Posadzie Górnej, bywałam tam z rodzicami przed II wojną. Skojarzenie, że mój ojciec urodził się w Posadzie Górnej w tym samym 1898 roku, kiedy Izaak Rabi, laureat nagrody Nobla, urodził się w Rymanowie, już budzi we mnie wielką emocję.

W 1939 roku, będąc prawie dorosłą dziewczyną w klasie przedmaturalnej, spędzałam wakacje w Rymanowie i ten ostatni radosny pobyt przed mającymi nastąpić tragicznymi wydarzeniami wojny pamiętam bardzo dokładnie. Pobyt ten zapisał się w mojej pamięci jasną smugą radości związanej ze spotkaniami wielu osób i z niektórymi członkami rodziny, których do tej pory nie znałam. Stała mieszkanka miasta, pierwszy raz zamieszkałam na wsi tej przedwojennej, niezamożnej, często określanej mianem „wsi galicyjskiej“.

Jednak nie były to wakacje spędzane wyłącznie na wsi, ale także prawie codzienne pobyty w pięknym Rymanowskim Zdroju.

Rymanów, jeżeli dobrze pamiętam, należał do przedwojennego województwa lwowskiego. Przyjeżdżało się pociągiem linii Stróże–Przemyśl. We Wróbliku, maleńkiej stacji tej linii kolejowej, wynajmowano dorożkę albo chłopską furę i drogą wiodącą przez Posadę Dolną, Rymanów Miasto, Posadę Górną przyjeżdżało się do Zdroju. Droga wiodła dalej ku południowej granicy Państwa, przez Deszno, Królik Polski, Jaśliska.

Nasz wakacyjny dzień rymanowski był pełen pięknych wrażeń i przeżyć. Po śniadaniu zwykle odprowadzaliśmy do Zdroju jedną z leczących się. Był to dość długi spacer, autobusy wtedy nie jeździły, chwiejną kładką nad rzeką (Kamieniec) wychodziło się na główną drogę, następnie koło gminy, Kółka Rolnicze-

go, a potem koło domu z krzyżem w ogrodzie przy drodze i tu już zaczynał się Zdrój. Ja wołałam jednak drogę opłotkami przez wieś. Wąska dróżka prowadziła to w górę, to w dół pomiędzy wiejskimi zabudowaniami nad rzeką. Mieszkali tam wszędzie moi znajomi, zawsze życzliwi i chętni do rozmowy. Były to domy Kilarów, Szulów, Hanusów, Maśników, Różewiczów, Ziembów, była „Malowanka“ i dobry znajomy, Władek z „Malowanki“.

Zdrojowe sanatoria i pensjonaty mieściły się przeważnie w drewnianych willach, przypominających nasze Podhale, ale także alpejski Tyrol. Nie stanowiąc zabudowy ulicowej, były wkomponowane w większości w zalesione wzgórza. Mnie szczególnie podobała się piękna i elegancka „Willa Leliwa“, nieopodal wybitnie pięknej architektury „Domu Zdrojowego“. Obok zabudowań z białych, brzoźowych pni stała uroczą, wiotką muszla koncertowa.

Park z doskonale utrzymanymi trawnikami, kłomby kwiatowe, krzewy, wszystko poprzecinane alejkami, przy których ustawiono ławeczki – najmiłsze te koło pijalni i Domu Zdrojowego. Murowane łazienki całą jedną ścianą wbudowane w sąsiednie, zalesione wzgórza.

Zasadniczo Zdrój znajduje się w całości wśród wzgórz porośniętych dorodnymi drzewami, a płynąca prawie przez środek Zdroju rzeczka Tabor dodaje mu jeszcze wspanialszego uroku. Przy wejściu do parku przechodziliśmy koło transformatora, który był „ważnym obiektem turystycznym“, z uwagi na umieszczony na nim herb Potockich – Pilawa.

Pierwsze kroki kierowaliśmy do pijalni, gdzie bardzo miła pani, znajoma z Posady zawsze w białym fartuszkach raczyła chętnych wodami, zależnie od upodobań, lecz przede wszystkim według wskazań lekarza – „Tytusa“, „Klaudia“ i „Celestyna“. Dzieci i młodzież z zasady piły „Tytusa“.

Wodę czerpała z ocembrowanych studzienek emaliowanym, białym dzbankiem przy pomocy długiego kijka, ta nieco prymitywna technika miała jednak swój urok. Będąc przypisana do „Tytusa“, po przełamaniu pierwszych niesmaków chętnie wypijałam trzy razy

dziennie przeznaczone mi porcje. Pijąc wodę, należało spacerować tymi właśnie uroczymi alejkami, starsze pokolenie okupowało ławeczki.

Codzienną atrakcją był koncert w muszli koncertowej lub w Domu Zdrojowym, w którym ponadto w każdą sobotę odbywał się dancing. Zezwolono mi w jedną sobotę na taką „dancingową atrakcję“ wspólnie ze znajomymi i kuzynami. Sala balowa zrobiła na mnie dziwne wrażenie, nie posiadała bowiem sufitu, nad tańczącymi znajdowała się wysoka przestrzeń, która nie sprzyjała chyba akustyce sali. Przy ścianach poustawiano stoliki, na których pojawiały się dania zamawiane u kelnerów z restauracji mieszczącej się obok. Panów obowiązywały odpowiednie garnitury, krawaty, panie były bardzo eleganckie, żadnych dziśniejszych luzów.

Małeńki kościółek murowany w niedzielę nie zawsze mieścił wszystkich chętnych do modlitwy gości zdrojowych oraz okolicznych mieszkańców Posady Górnej, którzy mieli wprawdzie swój parafialny kościół w Rymanowie, ale ci mieszkający bliżej, szczególnie młodzież, chętnie przychodzili do Zdroju. We mszy św. uczestniczyli także członkowie rodziny właściciela Zdroju, Jana hr. Potockiego.

Starszy Pan hrabia, jak go nazywano, wraz z młodszym synem Janem mieszkali osobno, inną willę, wyżej położoną, zajmował jego starszy syn Ignacy hr. Potocki. Mieszkał wraz z żoną i dwojgiem dzieci, i jeżeli dobrze pamiętam, już w tym czasie zarządzał Zdrojem.

Po mszy św. przy pięknej, letniej pogodzie, spacerowali w parku, chętnie rozmawiając z gośćmi zdrojowymi. Szczególnie chętnym do „bratania się“ był młodszy syn Jan, który miał najserdeczniejszych przyjaciół i kolegów wśród chłopskiej młodzieży w Posa-

dzie i często przesiadywał w ich chłopskich zagrodach.

Goście zdrojowi byli elegancy, na spacerowanie należało ubierać się dobrze, panie spacerowały w słomkowych kapeluszach, często w białych rękawiczkach, panowie zawsze pod krawatami, starsi z laseczkami w rękach. Spacerowały także grupy dzieci tutejszych kolonii zdrowotnych. Było ich sporo. Jeżeli dobrze pamiętam, to duży pensjonat „Gozdawa“ położony na wzgórzu był także zamieszkały przez kolonistów. Były jeszcze inne wille, stanowiące własność kolonii.

Dalsze spacerowanie, a nawet wycieczki urządzaliśmy do pobliskich miejscowości Deszna, Wołuszowej, drogami w dolinach gęsto zalesionych wzgórz, oddychaliśmy balsamicznym powietrzem tamtejszych lasów. Obie wioski w większości zamieszkiwali Łemkowie, grekokatolicy, ruscy górale.

W swoich wioskach mieli oni małe, piękne cerkwie unickie, które parokrotnie odwiedzaliśmy, szczególnie tę w Desznie. Niestety, nigdy nie miałam okazji poznać Łemków bliżej, bezpośrednio. Pamiętam jedynie ich drabiniaste wozy, którymi w każdy poniedziałek ciągnęli z gór do Rymanowa na targ. Szczególnie kobiety w szerokich, drobno i gęsto plisowanych spódnicach, zajmowały nimi prawie połowę wozu. Kupowano od nich sery, duże, okrągłe, dobrze wyciśnięte, bochny sera bardzo smacznego.

Taki pogodny, spokojny, uporządkowany obraz Rymanowa Zdroju i niestety biednych najbliższych mu wiosek pozostał w mojej i prawdopodobnie w pamięci wszystkich osób, które wówczas, w ostatnie dni sierpnia 1939 roku, przed wybuchem wojny, spędzały tam urlopy i wakacje.

Los i wydarzenia wojenne ponownie przyniosły mnie tutaj już w grudniu 1939 r. Na szczęście działa-



nia wojenne we wrześniu oszczędziły ten piękny zakątek Polski, nie wyrządzając wówczas większych zniszczeń. Przyjazd jednak był smutny, towarzyszyła mi atmosfera tragicznych przeżyć ostatnich miesięcy. Wieś stała się biedniejsza, brakowało żywności dla ludzi i zwierząt. Łemkowie przestali przyjeżdżać, nie przywozili na targ prosiąt, grzybów, sera i miodu.

W mieście nie było handlu, który do tej pory w większości prowadziła tutejsza ludność żydowska, a która przybrana przez okupanta w Gwiazdę Dawida snuła się po ulicach i zaułkach, daremnie szukając ratunku dla siebie przed zagrażającą zagładą.

Prężnie działająca przed wojną Składnica Kótek Rolniczych (prowadził ją pan Ziajka z Posady Górnej) nie była także w stanie wykazać większych osiągnięć w zaopatrzeniu ludności.

W każdą niedzielę szczerze zaludniał się piękny kościół w Rymanowie i wiele razy widziałam w nim kulących się do jego ścian rymanowskich Żydów, którzy tutaj, w chrześcijańskich kościołach, modlili się, przedstawiając swe bóle i troski najwyzszemu.

Tuż przed Świątami Bożego Narodzenia wracając z wojennej tułaczki, siedziałam na krakowskim dworcu kolejowym i widziałam transport ludzi w bydłowych wagonach. Byli to pierwsi wysiedleni z Poznańskiego Polacy. Zostali oni przewiezieni do rymanowskiego zdroju i w dużej części umieszczono ich także w ruskich domach. Ich tragiczna obecność dopełniała smutną atmosferę tego okresu i tego, mimo wszystko zawsze pięknego zakątka.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy w alejkach zdrojowych pojawili się żołnierze Wehrmachtu. Była chyba wiosna 1940 roku. Przyjechali odpoczywać po trudach ofensywy na Polskę. Jeżeli jeszcze do tej pory chodziliśmy na spacer po Zdroju, w którym już nie było niestety kuracjuszy, to pojawienie się niemieckich żołnierzy przerwało tam nasze bywanie.

Z moimi serdecznymi znajomymi (Cesia, Wiesia) z moim najserdeczniejszym przyjacielem z „Murowanki“, urządzaliśmy wspólne przechadzki po okolicznych lasach i wzgórzach, często na Górę Zamkową, siadaliśmy na jakichś zwaliskach i snuliśmy marzenia naszych osiemnastu lat o na pewno radosnej przyszłości. Czas mój był w części wypełniony innymi zajęciami, czułam się w obowiązku być użyteczną w gospodarstwie krewnych, którzy w tych trudnych chwilach udzielili nam gościny.

Jedynego konia wujka okupant przejął do własnego inwentarza, co wymuszało niestety zwiększenie naszego, ludzkiego wysiłku. Od wiosny chodziłam do „Granic“, tam skromne pole uprawiała moja rodzina. Moja pomoc na pewno, z uwagi na moje umiejętności, nie jest warta dzisiejszego wspomnienia. Nauczyłam się natomiast świetnie obsługiwać żarna i bardzo chętnie z moim wesołym, niestety nieżyjącym już kuzynem braliśmy wspólnie do rąk drążek, współzawodnicząc, kto sprytnie wrzuci ziarna w otwór przy wirującym w naszych rękach drążku. Zimowe wieczory to

spotkania w nowo budującym się domu naszych sąsiadów, gdzie siedząc na progu nie wykończonej jeszcze izby z glinianą podłogą, naprzeciw buzującego w kuchennym piecu ognia rozmawialiśmy długo o naszej biednej terażniejszości, wierząc jednak w optymistyczne jej zakończenie. Na te nasze wieczorne „posiadówki“ schodzili się chłopcy i dziewczęta z najbliższego sąsiedztwa. Wspomnienie tych chwil przez wszystkie lata, które upłynęły od tego czasu, były mi zawsze bardzo ważne i drogie.

W rozmowach o sprawach Zdroju tamtejsza ludność zawsze dobrze ustosunkowana do rodziny hr. Potockich założycieli i właścicieli Zakładu z wielką serdecznością, a nawet ze czcią mówiła o ówczesnym właścicieli Janie hr. Potockim. Nie pamiętam już szczegółów, wiem jednak, że w tym ciężkim dla ludzi czasie starał się on ulżyć ludziom, niosąc pomoc materialną.

Poza tym doskonale pamiętam, bo brałam w tym udział, że hr. Potocki zapraszał, chyba zawsze w czwartki, do swojego domu na podwieczorek ludzi wyrzuconych ze swoich gniazd, a więc wysiedlonych poznaniaków i wszystkich, którzy w wyniku wojennych zdarzeń znaleźli się w Rymanowie. Spotkania te, w miłej atmosferze, miały kojący wpływ na dotkniętych nieszczęściem ludzi. Stanowiło to jakby kontynuację przesłania założycielki Zdroju, wielkiej dobrodziejki okolicznej ludności, hrabiny Anny Potockiej z Działyńskich. W roku 1941 wyjechałam z Rymanowa i nie znam dalszych losów tych spotkań.

Zdrojem zarządzał w tym czasie starszy syn, Ignacy hr. Potocki, i myślę że dzięki jego umiejętnościom Rymanowski Zdrój, pomimo niesprzyjających okoliczności, a następnie zniszczenia niektórych obiektów, zachował urok, którym obdarowany jest z natury.

Po wojnie dwukrotnie odwiedzałam Rymanów, były to tylko kilkugodzinne odwiedziny u krewnych.

W czasie moich sanatoryjnych kuracji w Iwoniczu, za pierwszym razem odbyłam tę „pielgrzymkę“ piechotą. W pierwszą wolną niedzielę jak na skrzydłach biegłam z mojej „Iwoniczanki“ w górę, a następnie po stoku góry koło kopalni rOPY „Bóbrka“, góry, która dzieliła Iwonicz od Rymanowa. Byłam pewna, że pamiętam wszystkie ścieżki wydeptywane podczas wojny i kiedy stanęłam na wzgórzu, z którego jak na dłoni zobaczyłam Rymanów Zdrój, byłam nieprawdopodobnie szczęśliwa.

Niedawno, decydując się na deficyt w moim emeryckim budżecie, wykupiłam prawie trzytygodniowy pobyt w Rymanowie Zdroju. Ten pobyt był dobrym okresem w moim życiu. Powróciły stare, zapamiętane widoki, wspomnienia radosnych i szczęśliwych dni i bardzo smutnych zdarzeń. Porównywałam w myślach rymanowski Zdrój z innymi, znanymi mi miejscowościami sanatoryjnymi, lecz Rymanów oglądany moim rozemocjonowanym wzrokiem wydał mi się najpiękniejszy. Piękne okazy drzew parkowych, traw-

niki, kwiaty świadczą o dużym zadbaniu; także widoczna dbałość o czystość, a wszystko otulone otaczającymi wzgórzami i górami, z których płynie zawsze ten sam Tabor, chociaż teraz już ujęty w karby, uregulowany, tworzący jednak kilka progów, a małe wodospady stanowią miły widok rzeki i jej otoczenia. Wzdłuż Taboru wygodne bulwary spacerowe.

Łazienki takie same jak zapamiętałam, lecz uzbrojone w jakieś rusztowania – będą rozbudowywane. Awansowały do rangi szpitala sanatoryjnego „Eskulap“. Mały domek pijalni niewiele się zmienił. Od strony pijalni ten sam ładny widoczek na ten sam kościół, ale teraz już parafialny.

Ciemne, drewniane wille pokryte białym sidingiem, zapewne wymagały już zabezpieczenia. Kilka nowych obiektów z nowoczesnym „Stomilem“ na stoku Mogiły wzbudzają radość, związaną z rozwojem miejscowości.

Jest także maleńki stawek niedaleko przystanku autobusowego, jakiś mały kiosk, bufet, potem korty, boisko i imponujący basen. Mała estrada, zapewne występują tam także dzieci, będące na kolonii. Zasobne, dostatnie, obszerne, podporządkowane obecnym wymogom sanatoria, wille, domy i zabudowania gospodarcze. Przykro odczuwam brak pięknego Domu Zdrojowego.

Przy drodze do Wołuszowej jakieś stare sanatorium, pewnie pilnie oczekuje koniecznego remontu. Ale przy tej samej drodze stoi kamienna tablica – pomnik z wrytym wierszem zauroczonego rymanowskim lasem Stanisława Wyspiańskiego. To bardzo wielka przyjemność stanąć przed tą tablicą i czytać ten piękny wiersz. Z trudem umiejscawiam w starej pamięci nowe obiekty.

Bardzo pozytywne wrażenia sprawiają najbliższe Zdroju wioski – Posada Górna i Deszno. W większej części zabudowane nowymi domami, murowane, piętrowe nie przypominające dawnych wiejskich zagród. Jeżeli stoją jeszcze stare, drewniane zabudowania, to wnętrza ich są unowocześnione, wyposażone w ła-

zienki, instalacje, są pięknie umeblowane, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt domowy. Nie ma najmniejszego śladu „wsi galicyjskiej“ i to jest właśnie powód do radości, że dokonali tego właśnie ci ludzie, znajomi i krewni w tej właśnie drogiej memu sercu miejscowości.

Kilkakrotny wyjazd autobusem do Rymanowa Miasta. Tutaj wszędzie oznaki zadbania i awansu Rymanowa do posiadania szkoły średniej – nowy budynek Liceum. Jakiś nowy bank, sklepy. Także niestety przykre powojenne pamiątki, ruiny żydowskiej synagogi i żydowskiego cmentarza. Łączę je ze wspomnieniami, kiedy to w okresie wojny wracaliśmy zbczem wzgórze z kościoła, przechodząc czasem przez ten żydowski kirkut, na którym stały lub leżały powalone zagadkowe dla nas macewy. Ponieważ w przedwojennym Rymanowie mieszkało bardzo dużo Żydów, a wśród nich sławni nie tylko w Polsce cadycy, cmentarz tego wyznania był swego rodzaju zabytkiem kultury. Powyżej cmentarz katolicki – pochowano na nim kilka pokoleń Rymanowa, Posady Górnej i Dolnej, leżą tam także moi przodkowie. Nie znalazłem wprawdzie tablicy czczącej pamięć synów tej ziemi, którzy w czasie II wojny światowej oddali życie za Ojczyznę. Rekompensatą są zapewne tablice pamiątkowe wewnątrz kościoła i na zewnętrznej ścianie szkoły w Posadzie Górnej. Nazwiska niektórych rodzin powtarzają się na nich wielokrotnie. Ta pamięć budzi także we mnie duże osobiste rozrzewnienie. Idąc w górę, mijam „Dom Tercjanek“, w którym odwiedzając kiedyś moją ciocię, byłam goszczona przez Przewodniczącą tego Zgromadzenia, panią Smerecką.

Dalej Droga Męki Pańskiej – wyremontowana także po wojnie. Teraz wszędzie tam byłam, zobaczyłam i wiele przemyślałam, i przeżyłam. Pewne sprawy, rzeczy, wielu ludzi odeszło bezpowrotnie. Wszystko, co odeszło i to, co obecnie jest Rymanowem, stanowi dla mnie piękne wspomnienia.



Sotys ze wsi Wołuszowa Andrzej Maksymowicz z rodziną (zdjęcie z lat dwudziestych).



Wanda Stempin z domu Smerecka i Antoni Stempin. Zdjęcie ślubne. Rok 1926.